

**William James**

---

## **Wielcy ludzie, wielkie myśli a środowisko**

Wykład wygłoszony dla Harwardzkiego Towarzystwa Historii Naturalnej. Opublikowany w *Atlantic Monthly* w październiku 1880 roku (t. 46, nr 276, s. 441-459)

Niezwykłe podobieństwo, którego, jak sądzę nigdy nie zauważono, istnieje pomiędzy faktami z jednej strony ewolucji społecznej, a z drugiej – ewolucji zoologicznej wyłożonej przez pana Darwina.

Najlepiej będzie, jeśli przygotuję grunt dla mojej tezy, czyniąc kilka bardzo ogólnych uwag na temat metody dochodzenia do prawdy naukowej. Komunałem jest stwierdzenie, że całkowita znajomość każdej jednej rzeczy, choćby małej, wymagałaby wiedzy na temat całego wszechświata. Nawet wróbel nie spadnie na ziemię, by nie doszukiwano się jakichś odległych okoliczności jego upadku na Drodze Mlecznej, w naszej konstytucji federalnej lub we wczesnej historii Europy. Innymi słowy, gdyby zmienić Drogę Mleczną, gdyby zmienić naszą konstytucję federalną, gdyby zmienić fakty na temat naszego barbarzyńskiego pochodzenia – to wszechświat byłby już innym wszechświatem niż jest obecnie. Jednym z aspektów owej inności mogłoby być to, iż konkretny chłopiec biegający po ulicy, który rzucił kamieniem we wróbla i sprawił, że ptak spadł na ziemię – być może nie znalazłby się naprzeciwko wróbla; lub, jeśli nawet by się tam znalazł, to być może jego stan umysłu nie byłby na tyle spokojny i zdekoncentrowany, by chłopiec rzucił kamieniem. Choć to wszystko jest prawdą, każdy, kto dociekałby przyczyny upadku

wróbla, postąpiłby niemądrze pomijając chłopca jako zbyt osobowego, najbliższego i, jakby to powiedzieć, antropomorficznego sprawcę, a twierdząc, że prawdziwą przyczyną jest konstytucja federalna, migracja rasy celtyckiej na zachód albo też struktura Drogi Mlecznej. Gdybyśmy nadal posłużyli się tą metodą, moglibyśmy stwierdzić całkiem zasadnie, że jeden z naszych przyjaciół, który poślizgnął się na oblodzonym progu swego domu i rozwalił sobie czaszkę, a stało się to kilka miesięcy po obiedzie, w czasie którego trzynaście osób siedziało przy stole, to umarł właśnie z powodu owej złowieszczej uczyty. Rzeczywiście, znam taki przypadek; i mógłbym, gdybym chciał, stwierdzić z całkowitą logiczną stosownością, że owo poślizgnięcie się na lodzie nie było prawdziwym wypadkiem. „Nie ma wypadków dla nauki”, mógłbym powiedzieć, „Cała historia świata zbiegła się, by spowodować to poślizgnięcie się. Gdyby cokolwiek zostało pominięte, poślizgnięcie nie nastąpiłoby dokładnie w owym miejscu i czasie. Mówić, że zdarzyłoby się, oznacza zaprzeczyć związkowi przyczynowo-skutkowemu w całym wszechświecie. Prawdziwą przyczyną śmierci było nie poślizgnięcie się, *lecz okoliczności, które spowodowały owo poślizgnięcie się* – wśród nich fakt zasiadania przy stole sześć miesięcy wcześniej jako jedna spośród trzynastu osób. *To jest prawdziwym powodem, dla którego umarł on w ciągu roku*”.

Wkrótce okaże się, czyje argumenty w tej postaci tutaj odtwarzam. Chętnie sformułowałbym tę prawdę bez polemiki czy wzajemnego oskarżania. Niestety, nigdy w pełni nie pojmujemy wagi jakiegoś prawdziwego stwierdzenia, dopóki nie mamy wyraźnego pojęcia na temat przeciwnego nieprawdziwego stwierdzenia. Błąd jest potrzebny, by podkreślić prawdę, tak jak ciemne tło wymagane jest do ukazania jasności obrazu. Błąd, którym zamierzam posłużyć się jako tłem do podkreślenia tego, co wydaje mi się prawdziwością moich stwierdzeń – zawarty jest w filozofii pana Herberta Spencera i jego uczniów. Zajmiemy się problemem zawartym w pytaniu: Co sprawia, że społeczności zmieniają się z pokolenia na pokolenie – że Anglia królowej Anny tak bardzo różni się od Anglii królowej Elżbiety, że dzisiejszy Harvard tak różni się od tego sprzed trzydziestu lat?

Odpowiem na to pytanie w ten sposób: różnica ta jest efektem nagromadzenia oddziaływań jednostek, ich przykładów, inicjatyw i decyzji. Szkoła spencerowska na pytanie to odpowiada tak: zmiany dokonują się bez względu na osoby i niezależnie od kontroli indywidualnej. Są rezultatem [oddziaływania] środowiska, okoliczności, geografii fizycznej, pochodzenia i narastającego doświadczenia związków zewnętrznych, czyli w rzeczywistości wszystkiego, prócz Grantów, Bismarcków, Jonesów i Smithów.

Twierdzę, że ci teoretycy ulegają dokładnie temu samemu błędnemu rozumowaniu, co osoba, która przypisałaby śmierć swego przyjaciela obiadowi w grupie trzynastu osób albo też upadek wróbla – Drodze Mlecznej. To tak jak ten pies z bajki, który upuszcza właściwą kość, by chwycić jej wyobrażenie – porzucają oni prawdziwe przyczyny, by chwycić inne, które z żadnego z możliwych ludzkiego punktu widzenia nie są dostępne czy osiągalne. Ich błędne rozumowanie jest praktyczne.

Przyjrzyjmy mu się. Chociaż wierzę w wolną wolę, zrezygnuję z tego przekonania w niniejszej dyskusji i przyjmę za spencerystami predestynację wszelkich ludzkich działań. Zgodnie z tym założeniem, chętnie przyznam, że gdyby inteligencja badająca śmierć owego człowieka czy wróbla była wszechwiedząca i wszechobecna oraz zdolna objąć jednym spojrzeniem cały czas i przestrzeń, nie byłoby najmniejszego sprzeciwu wobec odwoływania się do Drogi Mlecznej czy owej fatalnej uczty jako poszukiwanych przyczyn. Taka boska inteligencja dostrzegłaby natychmiast wszelkie nieskończone linie zbieżności ku danemu rezultatowi, co więcej, widziałyby to bezstronnie: dostrzegłaby, że owa fatalna uczta była przyczyną śmierci zarówno wróbla, jak i człowieka; dostrzegłaby, że chłopiec z kamieniem był przyczyną upadku zarówno człowieka, jak i wróbla.

Ludzki umysł jednak utworzony jest według zupełnie innego planu. Nie posiada on tak wszechstronnej intuicji. Jego ograniczoność pozwala mu na dostrzeganie zaledwie dwóch-trzech rzeczy naraz. Jeśli zechce mieć szersze pole widzenia, musi posłużyć się tzw. ideami ogólnymi, a czyniąc to musi porzucić konkretne prawdy. Stąd też, w omawianym tutaj przypadku, jeśli my jako ludzie zechcemy odczuć związek pomiędzy Drogą Mleczną, chłopcem i obiadem a śmiercią wróbla i człowieka, możemy to uczynić jedynie uciekając się do ogromnej pustki czegoś, co określa się mianem abstrakcyjnego twierdzenia. Musimy powiedzieć, że wszystko na świecie jest całkowicie ustalone z góry i trzyma się razem w niewzruszonej stałości prawa naturalnego. Ogólnikowość tego obszernego twierdzenia sprawia, że tracimy wszelkie konkretne fakty i związki; a we wszelkich kwestiach praktycznych jedyną ważną rzeczą są konkretne związki. Ludzki umysł jest zasadniczo stronniczy. Jeśli w ogóle może być skuteczny, to tylko przez wybieranie, czym ma się zająć i ignorowanie pozostałych rzeczy – poprzez zawężanie swojego pola widzenia. W przeciwnym razie niewielka siła, jaką dysponuje, ulega rozproszeniu i umysł zupełnie się gubi. Człowiek zawsze pragnie zaspokoić swoją ciekawość z jakiegoś konkretnego powodu. Jeśli, w przypadku wróbla, powodem będzie chęć ukarania sprawcy, głupotą byłoby pomijanie kotów, chłopców oraz innych możliwych źródeł sprawstwa będących w pobliżu na ulicy, by badać dzieje wczesnych Celtów i Drogę Mleczną: w tym czasie chłopiec by uciekł. Jeśli, w przypadku owego nieszczęsnego człowieka, pogrążymy się w rozmyślaniach nad tajemnicą trzynastu osób przy stole, a nie zauważymy oblodzonego progu i o nim zapomnimy – inny nieszczęśnik, który nigdy w życiu nie był na proszonym obiedzie, może poślizgnąć się podchodząc do drzwi, przewrócić i także rozbić sobie głowę.

Jesteśmy więc jako ludzie z konieczności zmuszeni do ograniczenia naszego pola widzenia. Wiemy, że w matematyce metoda ignorowania i niedostrzegania liczb znajdujących się poza pewnym zakresem została przyjęta w rachunku różniczkowym. Osoba dokonująca obliczeń odrzuca wszystkie nieskończone małe wielkości rozważanych przez siebie liczb. Traktuje je (zgodnie z pewnymi zasadami) tak jakby nie istniały. Same w sobie istnieją cały czas; lecz jak gdyby nie istniały

w jej obliczeniach. Podobnie astronom zajmujący się ruchami pływowymi oceanu, nie bierze pod uwagę fal wywołanych przez wiatr lub napór wszystkich parowców, które od świtu do nocy przesuwają swoje tysiące ton po powierzchni wody. Strzelec wyborowy celując strzelbą, uwzględnia ruch wiatru, lecz nie uwzględnia równie rzeczywistego ruchu Ziemi i Układu Słonecznego. Punktualność może pozwolić biznesmenowi na pięciominutową granicę błędu, gdy tymczasem fizyk mierzący prędkość światła musi policzyć każdą milisekundę.

Krótko mówiąc, w naturze istnieją różne cykle działania; różne, jakby to powiedzieć, działy od siebie względnie niezależne, tak, że to, co w danym momencie zachodzi w jednym z nich może być zgodne z niemal każdym stanem rzeczy obecnym w tym samym momencie w innym [dziale]. Pleśń na herbatniku w spiżarni okrętu wojennego rośnie zupełnie niezależnie od narodowości flagi, kierunku podróży, pogody oraz ludzkich dramatów być może rozgrywających się na pokładzie; a mykolog może ją badać w całkowitym oderwaniu od wszystkich tych poważniejszych szczegółów. Tylko taki sposób badania, tak naprawdę, stwarza możliwość koncentracji umysłu, a jedynie dzięki niej badacz może mieć nadzieję na poznanie czegoś z natury pleśni. Z drugiej strony, gdyby kapitan kierujący statkiem podczas bitwy morskiej uznał za konieczne włączenie zapleśniałego herbatnika do swych obliczeń – z wielkim prawdopodobieństwem przegrałby tę bitwę z powodu zbytnej „dokładności” swojego umysłu.

Przyczyny działające w tych niewspółmiernych cyklach wiążą się ze sobą tylko wówczas, gdy weźmiemy pod uwagę cały wszechświat. W przypadku wszystkich innych mniejszych punktów widzenia zasadne jest – ba, powiem nawet, że dla ludzkiej mądrości jest to konieczne – by uważać owe cykle za niepowiązane i wzajemnie dla siebie nieistotne.

Zbliża nas to do naszego konkretnego tematu. Jeśli spojrzymy na zwierzę lub człowieka wyróżnionego spośród pozostałych przedstawicieli swojego gatunku posiadaniem jakiejś niezwyklej cechy, złej lub dobrej, będziemy zdolni rozróżnić między przyczynami, które pierwotnie wytworzyły w nim tę cechę a przyczynami, które ją zachowały po utworzeniu; i zobaczymy, jeśli owa cecha okaże się cechą wrodzoną, że obie grupy przyczyn należą do dwóch takich właśnie niezwiązanych [ze sobą] cykli. Dostrzegł to Darwin w swej absolutnej oryginalności i uczynił z tego użytek. Wyróżniając przyczyny powstawania jako tendencje do spontanicznego zróżnicowania i przypisując je cyklowi fizjologicznemu, które niezwłocznie zgodził się zupełnie ignorować<sup>1</sup>, ograniczył swoją uwagę do przyczyn zachowania [gatunku] i określiwszy je terminem doboru naturalnego i doboru płciowego badał je wyłącznie jako funkcje cyklu środowiska.

<sup>1</sup> Darwinowska teoria pangenetyki jest co prawda próbą wyjaśnienia (między innymi) zmienności. Zajmuje ona jednak osobne miejsce, a jej autor nie częściej odwołuje się do środowiska, mówiąc o przyleganiu pączków [zawiązków] (adhesions of gemmules) niż do tegoż przylegania, kiedy mówi o związkach całego zwierzęcia ze środowiskiem. *Divide et impera!* [Dziel i rządź].

Filozofowie żyjący przed Darwinem również próbowali wprowadzić zasadę dziedziczenia ze zmianą (*with modification*); wszyscy jednak popełnili błąd łączenia obu cykli przyczyn w jeden. To, co zachowuje zwierzę wraz z jego cechą, o ile jest ona użyteczna, upatrywali w naturze środowiska, do którego owa cecha została przystosowana. Żyrafa ze swoją osobliwą szyją zostaje zachowana dzięki temu, że w jej środowisku znajdują się wysokie drzewa, których liście może ona zjadać. Predarwiniści poszli jednak dalej i stwierdzili, że obecność drzew nie tylko zachowywała zwierzę z jego długą szyją, by mogło buszować sobie wśród ich gałęzi, lecz stała się również przyczyną powstania samego zwierzęcia. To drzewa uczyniły jego szyję długą przez rozbudzenie w nim nieustannego pragnienia sięgania ku nim. Krótco mówiąc, to środowisko zdaniem predarwinistów miało ukształtować zwierzę poprzez rodzaj bezpośredniego nacisku, bardzo podobnego do tego, jaki wywiera pieczęć na wosku dopasowując go do siebie. Podano liczne przykłady wskazujące na to, w jaki sposób się to dokonuje na naszych oczach. Kucie [np. żelaza] sprawia, że prawe ramię staje się silniejsze, dłoń staje się zgrubiła dla wiośła, górskie powietrze rozciąga klatkę piersiową, ścigany lis staje się przebiegły, a ścigany ptak – płochliwy, arktyczny chłód pobudza proces spalania u zwierząt itd. Otóż zmiany te, których przykłady można by mnożyć, wyróżnia się obecnie pod szczególną nazwą zmian *adaptacyjnych*. Osobliwe u nich jest to, że właśnie ta cecha środowiska, do której zwierzę ma się przystosować, sama wywołuje owo przystosowanie. „Wewnętrzny związek” – posługując się wyrażeniem pana Spencera – „odpowiada” swej własnej przyczynie działającej.

Pierwszym osiągnięciem Darwina było ukazanie absolutnego braku znaczenia ilości zmian wywołanych przez bezpośrednie przystosowanie, podczas gdy znacznie większa ilość zmian wywoływana jest przez wewnętrzne zderzenia cząsteczek elementarnych, o czym nic nie wiemy. Jego kolejnym osiągnięciem było zdefiniowanie prawdziwego problemu, z jakim musimy się zmierzyć, badając wpływ widocznego środowiska na zwierzę. Problem ów można by zawrzeć w pytaniu: czy bardziej prawdopodobne jest to, że środowisko *zachowa* zwierzę [przy życiu], czy że je *zniszczy* ze względu na obecność w nim tej lub innej wyjątkowej cechy, z którą przyszło na świat. Określając cechy wrodzone terminem „przypadkowych zmian”, Darwin ani przez chwilę nie próbuje sugerować, że cechy te nie są stałym rezultatem prawa naturalnego. Gdyby wziąć pod uwagę cały wszechświat – przyczyny tych zmian oraz widoczne środowisko, które albo je zachowuje, albo niszczy, niewątpliwie w jakiś pośredni i okrężny sposób łączą się ze sobą. Darwin chce powiedzieć, że skoro środowisko jest doskonale znane, a jego związki z organizmem czy to destrukcyjne czy zmierzające do jego zachowania są konkretne i wyraźne, nasza ograniczona zdolność pojmowania uległaby zupełnej dezorientacji, a nadzieje pokładane w nauce zostałyby zawiedzione, gdyby dodać do tego fakty z tak odmiennego i niewspółmiernego cyklu, jak ten, w którym owe zmiany powstają. Ten ostatni cykl dotyczy zdarzeń poprzedzających narodziny zwierzęcia. Jest to cykl

oddziaływań na jaja i embriony, cykl, do którego należą przyczyny przechylające je ku męskości lub kobiecości, ku sile lub słabości, ku zdrowiu lub ku chorobie oraz ku odchyleniu od typu reprezentowanego przez rodziców. Cóż to są za przyczyny?

Po pierwsze, są one molekularne i niewidoczne – zatem, niedostępne jakiegokolwiek bezpośredniej obserwacji. Po drugie, ich działania pozostają w zgodzie z wszelkimi warunkami społecznymi, politycznymi i fizycznymi środowiska. Ci sami rodzice, żyjący w tych samych warunkach środowiskowych mogą przy jednym porodzie wydać na świat geniusza, a przy kolejnym idiotę lub potwora. Widoczne warunki zewnętrzne nie są zatem bezpośrednimi determinantami tego cyklu; im dłużej więc zastanawiamy się nad tą sprawą, tym bardziej jesteśmy zmuszeni sądzić, że dwoje dzieci tych samych rodziców różni się od siebie z przyczyn tak nieproporcjonalnych do swych ostatecznych rezultatów, jak ów słynny kamień na grzbiecie Gór Skalistych, który rozdziela dwie krople deszczu, w kierunku Zatoki Św. Wawrzyńca i Oceanu Spokojnego, każąc im płynąć oddzielnie w tych dwu kierunkach.

Wielkie mechaniczne rozróżnienie pomiędzy siłami przechodnimi (*transitive forces*) a siłami uwalniającymi (*discharging forces*) nigdzie nie zostało zilustrowane na taką skalę jak w fizjologii. Niemal wszystkie przyczyny są tam siłami zapadki (*detent*), które działają poprzez uwalnianie energii już nagromadzonej. Powodują one zachwianie niestabilnej równowagi, a efekt końcowy zależy nieskończenie bardziej od natury materiałów, na które oddziałują niż od konkretnego bodźca, który nimi wstrząsa. Galwanizacja nerwu żaby o wartości jednej jednostki wyzwoli z mięśnia, który zawiera ten nerw, działanie mechaniczne o wartości siedemdziesięciu tysięcy jednostek; dokładnie taki sam efekt mięśniowy pojawi się w wyniku zastosowania innych niż galwanizacja czynników podrażniających. Czynniki podrażniający rozpoczął lub sprowokował jedynie coś, co dalej już działa samo z siebie – tak jak zapałka może rozpalić ogień, który trawi całe miasto. Jakościowo i ilościowo skutek może być całkowicie niewspółmierny do przyczyny. Taki stan rzeczy odnaleźć można w całej materii organicznej. Chemikom przeszkadzają trudności, jakie stawia na drodze ich badań niestabilność związków albuminoidów [białek]. Dwa osobniki wystawione na działanie pozornie zda się identycznych warunków, zachowują się zupełnie inaczej. Znane są niewidoczne czynniki procesu fermentacji i tego, jak los dzbanka mleka – czy zamieni się w zsiadłe czy w kumys – zależy od tego, czy najpierw wprowadzi się ferment kwasu mlekowego czy alkoholowy i który z nich pierwszy rozpocznie proces. Gdy zaś skutkiem [działania] jest tendencja niewidocznego gołym okiem jajeczka do przechylenia się w tym lub w innym kierunku na drodze swej dalszej ewolucji – by wydać na świat geniusza lub matoła, tak jak i kropla deszczu spływa po kamieniu na wschód lub zachód – czyż nie jest oczywiste, że zmieniająca kierunek przyczyna musi znajdować się w obszarze tak abstrakcyjnym i małym, pewnie w takim zaczynie zaczynu, nieskończenie małej liczbie (*infinitesimal*) tak wysokiego rzędu, że samo przypuszczenie może nie wystarczyć, aby chociaż spróbować go sobie wyobrazić?

Jeśli tak, to czyż Darwin nie miał racji, odwracając się zupełnie do tego obszaru plecami i nie wdając się w badany przez siebie zagadnienie w żadne tego typu kwestie? Powodzenie, jakim uwieńczone zostało jego dzieło jest wystarczającą odpowiedzią twierdzącą.

Dochodzimy wreszcie do sedna naszego tematu. Przyczyny powstawania wielkich ludzi leżą w sferze całkowicie niedostępnej dla filozofa społecznego. Musi on po prostu przyjąć geniuszy jako dane, tak jak Darwin przyjmuje swoje samoistne zmiany. Mając już te dane staje on, podobnie jak Darwin, wobec jedynego problemu: W jaki sposób środowisko oddziałuje na te dane i jak one oddziałują na środowisko? Otóż, twierdzę, że związek widocznego środowiska z wielkim człowiekiem na ogół jest dokładnie taki jak związek środowiska ze „zmiennością” w filozofii Darwina. Przede wszystkim przyjmuje lub odrzuca ono, zachowuje lub niszczy – krótko mówiąc *dokonuje jego selekcji*<sup>2</sup>. I za każdym razem, gdy środowisko przyjmuje i zachowuje wielkiego człowieka, podlega ono zmianie pod wpływem oddziaływania ze strony takiego człowieka w zupełnie niezwykły i szczególny sposób. Działa on jak zaczyn i zmienia strukturę środowiska, tak jak nadejście nowego zoologicznego gatunku zmienia równowagę fauny i flory w obszarze, w jakim się pojawia. Wszyscy pamiętamy słynną wypowiedź pana Darwina na temat oddziaływania kotów na wzrost koniczyny w ich sąsiedztwie. Wszyscy czytaliśmy o skutkach działania królika europejskiego w Nowej Zelandii, a także wielu z nas tutaj obecnych zaangażowało się w kontrowersję dotyczącą angielskiego wróbla – czy zabija on więcej gąsienic czy odpędza większość rodzimych ptaków. Podobnie wielki człowiek – czy jest on ważną osobistością z zewnątrz, tak jak Clive w Indiach czy Agassiz tutaj, czy też wyrasta na ojczystej ziemi, jak Mahomet czy Franklin – doprowadza do zmiany, na wielką lub małą skalę, występujących uprzednio relacji społecznych.

Przeobrażenia społeczeństw z pokolenia na pokolenie są zatem w głównej mierze wynikiem bezpośrednich lub pośrednich czynów bądź przykładów jednostek, których geniusz był tak przystosowany do chłonności danych czasów, lub których przypadkowa pozycja władzy była tak decydująca, że stali się oni zaczynem, inicjatorami ruchów [społecznych], wyznacznikami precedensów lub mód, ośrodkami korupcji lub niszczycielami innych osób, których talenty, gdyby tylko mieli oni swobodę działania, poprowadziłyby społeczeństwo w innym kierunku.

Przykłady mocy indywidualnej inicjatywy dostrzegamy na niewielką skalę wszędzie dookoła, a na wielką skalę w osobach historycznych przywódców. Będzie to jedynie przejaw posługiwania się metodą zdrowego rozsądku ludzi pokroju Lyella, Darwina i Whitneya, jeśli będziemy interpretować to, co nieznanne przez to, co znane a następnie sumować narastająco jedyne przyczyny zmiany społecznej,

---

<sup>2</sup> Prawdą jest, że środowisko zmienia również człowieka, do pewnego stopnia, przez swój wpływ wychowawczy i że to stanowi znaczną różnicę pomiędzy przypadkiem społecznym a zoologicznym. Pomijam tutaj ten aspekt związku [środowiska i wielkiego człowieka], gdyż ten drugi jest ważniejszy. Powróć doń, na marginesie, na końcu artykułu.



jakie możemy bezpośrednio zaobserwować. Społeczeństwa ludzi są takie jak jednostki pod względem oferowanych przez siebie w każdym momencie dwuznacznych możliwości rozwoju. To czy młody człowiek zajmie się biznesem czy też zostanie duchownym, zależy może od decyzji, która musi być podjęta w pewnym momencie. Obejmuje oferowaną mu posadę w biurze rachunkowym i zostaje *zobowiązany*. Powoli nawyki i wiedza dotyczące tej drugiej drogi życiowej, które niegdyś były mu tak bliskie – przestają być uważane nawet za możliwe. Być może początkowo zdarza mu się powątpiewać, czy aby *Ja*, które unicestwił w owej decydującej godzinie, nie byłoby z tych dwu lepsze; z biegiem lat, jednak, przestaje zadawać sobie te pytania, a owo stare alternatywne *ego* – niegdyś żywe i wyraziste – błędnie stając się czymś mniej namacalnym niż sen. Nie inaczej dzieje się z narodami. Mogą być zobowiązane przez królów i ministrów do wojny lub pokoju, przez generałów do zwycięstwa lub klęski, przez proroków do tej lub innej religii, przez różnych geniuszy do sławy w sztuce, nauce bądź przemyśle. Wojna jest prawdziwym rozdrożem dla przyszłych możliwości. Bez względu na to, czy się ją wygrywa czy przegrywa, jej wypowiedzenie stanowi początek nowej polityki. Podobnie rewolucja – czy inny obywatelski precedens na wielką skalę – swoim oddziaływaniem zmienia bieg historii. Społeczeństwa przestrzegają swoich ideałów; a przypadkowy sukces taki ideał tworzy, porażka zaś go niweczy.

Czy Anglia miałaby dzisiaj swój obecny „imperialny” ideał, gdyby pewien chłopiec o nazwisku Bob Clive<sup>3</sup> zastrzelił się, tak jak to usiłował uczynić, w Madrasie? Czy byłaby tą rafą dryfującą pośród europejskich spraw<sup>4</sup>, gdyby niejaki Fryderyk Wielki odziedziczył tron zamiast Wiktorii oraz gdyby panowie Bentham, Mill, Cobden i Bright urodzili się w Prusach? Anglia bez wątpienia posiada dzisiaj tę samą co zawsze samoistną wartość w stosunku do innych narodów. Nigdzie na kuli ziemskiej nie ma tak wspaniałego nagromadzenia ludzkiego materiału. W Anglii jednak materiał ten utracił swój skuteczny kształt, podczas gdy w Niemczech go odnalazł. To przywódcy nadają kształt. Czyż Anglia zmierzałaby jednocześnie w przód i wstecz, tak jak to czyni, „za «chciałbym» w pogoń wysyłając «lecz nie śmiem»<sup>5</sup>, pragnąc zdobywać, lecz nie walczyć – gdyby jej ideał został utrwalony przez szereg mężów stanu o niezwykle władczej osobowości działających w jednym kierunku? Z pewnością nie. Obrababy taki lub inny kurs bez względu na to, co się wydarzy. Gdyby Bismarck zmarł w niemowlęctwie, Niemcy nadal byłiby usatysfakcjonowani postrzeganiem siebie jako rasy *Gelehrten* (uczonych) okularników i politycznych roślınożerców, Francuzi zaś spostrzegaliby ich jako *ces bon* (tych dobrych) lub *ces naifs Allemands* (tych naiwnych Niemców). Energia i zapał Bismarcka ukazały im, ku ich

<sup>3</sup> Robert Clive (1725-1774), pierwszy angielski gubernator Bengalu, współtwórca brytyjskiego panowania kolonialnego w Indiach. W Madrasie miewał zmienne nastroje, pojedynkował się i usiłował popełnić samobójstwo (przyp. tłum.).

<sup>4</sup> Czytelnik będzie pamiętał, kiedy zostało to napisane.

<sup>5</sup> Sparafrazowany przez Jamesa cytat z *Makbeta*, akt I, scena VII (522), por. W. Shakespeare, *Makbet*, tłum. L. Ulrich, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makbet.html> (przyp. red. nauk.).



wielkiemu zdziwieniu, że mogą odegrać znacznie żywszą rolę. Tej lekcji nie zapomną. Może Niemcy doświadczyły wielu zmiennych kolei losu, ale –

nie pozwolą, by się zniszczyły  
ślady tych spraw, które niegdyś były<sup>6</sup> –

a mianowicie, nigdy nie zapomną inicjatyw Bismarcka z lat od 1860 do 1873.

Fermentacyjne oddziaływanie geniuszy uznać należy, tak czy inaczej, jako jeden z czynników w obrębie zmian składających się na ewolucję społeczną. Społeczeństwo może ewoluować na wiele sposobów. Przypadkowa obecność takiego lub innego zaczynu decyduje, w jaki sposób będzie ewoluować. Dlaczego ptaki leśne, takie jak papugi, posiadają zdolność ludzkiej mowy, lecz nigdy jej nie rozwijają same; ktoś musi je tego nauczyć. Tak też jest w przypadku nas ludzi. Rembrandt musi nas nauczyć czerpania radości ze zmagania światła z ciemnością, Wagner czerpania radości z osobliwych efektów muzycznych; Dickens zmienia naszą uczuciowość, Artemus Ward nasze poczucie humoru; Emerson zapala wśród nas nowe światło moralne. Z tym jest jednak jak z jajkiem Kolumba. „Wszyscy mogą teraz hodować kwiaty, gdyż wszyscy mają ziarno”. Jeśli jest to prawdą w przypadku jednostek w społeczeństwie, dlaczego miałyby być fałszem w przypadku całego społeczeństwa? Jeśli wskaże się społeczeństwu pewną drogę, może ono nią pójść; jeśli się jej nie wskaże, społeczeństwo nigdy jej nie odnajdzie. Drogi te w większości nie są określone z góry. Naród może pójść za którymkolwiek z wielu alternatywnych impulsów oferowanych przez różnych geniuszy i nadal żyć w dobrobycie – tak jak człowiek może zdecydować się na którykolwiek spośród wielu zawodów. Tylko rodzaje dobrobytu mogą być różne. Nie jest to jednak indeterminizm absolutny. Nie każdy „człowiek” pasuje do każdego „czasów”. Owszem są pewne rozbieżności. Dany geniusz może pojawić się zbyt wcześnie lub zbyt późno. Piotr Pustelnik znalazłby się dzisiaj w zakładzie dla obłąkanych. John Mill w dziesiątym wieku żyłby i umarł nieznanym. Cromwell i Napoleon potrzebują swoich rewolucji, Grant zaś swojej wojny secesyjnej. Niejaki Ajax nie zyskuje sławy w czasach karabinów z celownikiem lunetowym; i wyrażając inaczej przykład, jakim posłużył się Spencer – czegoż mógłby dokonać Watt w plemienu, którego żaden geniusz-prekursor nie nauczył wytapiać żelaza czy obracać tokarką?

Otóż, ważną kwestią, na którą należy zwrócić uwagę jest to, że rozbieżność danego geniusza z jego otoczeniem zazwyczaj wynika z tego, że jakiś poprzedni geniusz innego rodzaju wypaczył społeczeństwo, odciągając je od sfery swej możliwej skuteczności. Po Wolterze nie pojawi się Piotr Pustelnik; pod Karolu IX i Ludwiku XIV nie dokonają się żadna powszechna protestantyzacja Francji; po Szkole Manchesterskiej<sup>7</sup>

---

<sup>6</sup> Sparafrazowany przez Jamesa cytat z wiersza Lorda Byrona, *Fare Thee Well. But neither heat, nor frost, nor thunder, Shall wholly do away, I ween, The marks of that which once hath been.* Por. <https://www.groove.pl/lord-byron/fare-thee-well/piosenka/664391> (przyp. red. nauk.).

<sup>7</sup> *Manchester school* – szkoła myśli politycznej i ekonomicznej kierowana przez Richarda Cobdena i Johna Brighta, której początki wzięły się ze spotkania Manchesterskiej Izby Handlowej

sukces Lorda Beaconsfield<sup>8</sup> jest krótkotrwały; po kimś pokroju Filipa II, ktoś pokroju Castelara niewiele posuwa się do przodu; i tak dalej. Każde rozwidlenie zupełnie odcina pewne obszary pola i ogranicza możliwe w przyszłości kąty odchylenia. Społeczeństwo jest strukturą żywą a – postępując się słowami, które najlepiej będzie jak zacytować z wypowiedzi profesora Clifforda:

właściwością struktur żywych jest nie tylko to, że podlegają zmianie pod wpływem zewnętrznych okoliczności, lecz że każda zachodząca w nich zmiana nie zostaje utracona, lecz utrzymana i tak jakby była wbudowana w organizm, by służyć jako fundament przyszłych działań. Jeśli zniekształci się drzewo w okresie wzrostu i wykrzywi, cokolwiek by się później zrobiło by je wyprostować – ślad zniekształcenia pozostanie. Nie da się go wymazać; stał się on częścią natury drzewa. [...] Założmy, jednak, że bierzemy bryłkę złota, topimy ją i zostawiamy, by ostygła. [...] Nikt jednak nie potrafi badając kawałek złota stwierdzić, jak często był topiony i schładzany na przestrzeni epok geologicznych, a nawet w ciągu ostatniego roku ręką człowieka. Każdy kto zetnie dąb może stwierdzić na podstawie słoju jego pnia ile razy zima sprawiała, że owdowiał, a lato przywracało go do życia. Istota żywa musi zawsze mieścić w sobie historię istnienia, nie tylko własnego ale i wszystkich swoich przodków<sup>9</sup>.

Każdy malarz powie nam, jak każda dodana kreska w pewnym sensie zmienia kierunek jego obrazu. Wszelkie kreski dodane później muszą bazować na tych położonych wcześniej. Każdy pisarz, który zaczyna przerabiać swoje dzieło wie, że niemożliwe jest ponowne wykorzystanie stron napisanych za pierwszym razem. Nowy początek wyeliminował już możliwość wcześniejszych wyrażań i zwrotów, stwarzając zarazem możliwość nieskończonej liczby nowych, spośród których żadne nie jest z góry określone. Podobnie środowiska społeczne czasów obecnych i minionych wykluczają możliwość zaakceptowania wkładu ze strony pewnych jednostek; nie potrafią jednak zdecydowanie określić, jaki wkład będzie zaakceptowany, ponieważ nie są zdolne ustalić, jaka będzie natura indywidualnych propozycji<sup>10</sup>.

---

w 1820 roku. Szkoła ta zdominowała brytyjską partię liberalną w połowie XIX wieku. Jej zwolennicy stali na stanowisku leseferyzmu w polityce gospodarczej, obejmującego wolny handel, wolną konkurencję oraz swobodę zawierania umów, a także opowiadali się za zasadą izolacjonizmu w polityce międzynarodowej. Propagatorzy szkoły byli częściej ludźmi biznesu niż teoretykami (por. <https://www.britannica.com/topic/Manchester-school-political-and-economic-school-of-thought>, dostęp: 10 VIII 2023), (przyp. red. nauk.).

<sup>8</sup> James odnosi się tu do brytyjskiego polityka Benjamin Disraeli'ego, który po zakończeniu sprawowania funkcji premiera został ustanowiony pierwszym hrabią Beaconsfield. Disraeli był konserwatystą, a przynajmniej taki się wydawał manchesterskiej szkole Benthama, Milla i innych spośród „filozoficznych radykałów” (przyp. tłum.).

<sup>9</sup> W. K. Clifford, *Lectures and Essays*, Vol. I, Macmillan and Co., London 1879, s. 82.

<sup>10</sup> Sam pan Grant Allen w artykule, którego fragment zaraz zacytuję, przyznaje, że grupa ludzi, którzy – gdyby ich wieki temu wystawiono na działanie czynników geograficznych Timbaktu – staliby się murzynami, mogłaby teraz – po dłuższym oddziaływaniu warunków Hamburga – nigdy nie zamienić się w murzynów, gdyby ją przenieść do Timbaktu.

Tak więc ewolucja społeczna jest wypadkową wzajemnego oddziaływania dwóch całkowicie odmiennych czynników – jednostki, której szczególne talenty biorą swój początek z oddziaływania sił fizjologicznych intraspołecznych, lecz to ona właśnie posiada wszelką inicjatywę i zdolność tworzenia; oraz drugiego czynnika – środowiska społecznego z jego zdolnością do przyjmowania lub odrzucania zarówno jednostki, jak i jej talentów. Oba czynniki są niezbędne do zaistnienia zmiany. Społeczeństwo się nie rozwija, jeśli pozbawione jest impulsu ze strony jednostki. Impuls zanika, jeśli nie spotka się z poparciem i zrozumieniem ze strony społeczeństwa.

Wszystko to zdaje się nie wykraczać poza zasady zdrowego rozsądku. Kto życzyłby sobie więcej informacji na ten temat, powinien przeczytać to złote dzieło Bagehota *Physics and Politics* [„Fizyka i polityka”], w którym (jak mi się zdaje) sens tego, jak wzrastają i zmieniają się konkretne rzeczy jest tak żywo obecny jak żywo nieobecne jest pełne wysiłku dążenie do pseudo-filozofii ewolucji. Są jednak umysły, którym nie brak niczego, dla których poglądy te zdają się osobiste i ciasne oraz zbliżone do antropomorfizmu dawno obalonego w innych dziedzinach wiedzy. Dla tych umysłów „jednostka obumiera a świat rośnie w siłę”; wiemy także jak bardzo „świat” stał się niemal równoznaczny z *klimatem* u ludzi pokroju Buckle’a, Drapera i Taina. Znany nam jest również spór pomiędzy zwolennikami „nauk historycznych” a tymi, którzy zaprzeczają istnieniu czegokolwiek takiego jak niezbędne „prawa” w odniesieniu do ludzkich społeczeństw. Na początku swego *Wstępu do socjologii* Pan Spencer przypuszcza atak na „teorię wielkich mężów” w historii. A oto kilka fragmentów tego dzieła:

[...] dotąd z całym spokojem można wierzyć w rozwój społeczeństw wskutek działalności wielkich mężów, dopóki zadawaliśmy się powierzchowną wiedzą i nie wglądaliśmy w szczegóły.

Lecz jak tylko wiedzy naszej pożądamy nadać charakter więcej ścisły, jak tylko pojęcia nasze ułożymy około pewnego wspólnego ogniska i znaczenie ich jasno określimy, natychmiast hipoteza ta runie. Dostyc nie zatrzymać się na przypuszczeniu, że pewien postęp społeczeństwa jest dziełem jakiego wielkiego męża, dostyc krok jeden dalej zrobić i spytać się z kądżeż się ów wielki mąż wziął, żeby się przekonać, że cała ta teoria nie ma podstaw. Na pytanie to dwie tylko odpowiedzi dać można. Albo przyczyny, które powołały go na widownię historyczną są nadnaturalne, albo też przyczyny te są naturalne. W pierwszym wypadku mąż ten jest posłańcem Boga, i znów wracamy do teokracji, albo raczej przy niej pozostajemy. [...] Jeżeli przypuszczenie to jest nieprawdopodobne, to nic innego nam nie pozostaje jak tylko uznać, że ów wielki mąż zjawił się wskutek naturalnego biegu rzeczy, a więc że i on jest tylko jednym ogniwem w łańcuchu innych zjawisk społecznych, które wraz z nim są wyrobem poprzednich stanów danego społeczeństwa. Wraz z pokoleniem, którego małą cząsteczkę stanowi – wraz jego urządzeniami, mową, wiedzą, zwyczajami, i sztukami, z ich zastosowaniem, wywołał go niezmierny zapas sił, które od wieków wspólnie działały. [...] przeto słuszna zgodzić się na to, że zjawienie się każdego wielkiego męża, zależy od sze-

regu skomplikowanych warunków, który wytworzył współczesne mu pokolenie i ten stan społeczny, do którego pokolenie to zwolna dorosło. [...] Wprzód, zanim on swe społeczeństwo przekształcił, musiało go jego społeczeństwo wykształcić. Tak, że właściwe źródło wszystkich tych zmian, które on sprowadził, leży w pokoleniu, z którego sam powstał. Jeżeli zatem w samej rzeczy chodzi nam o to, żeby wyjaśnić sobie owe przemiany, to musimy zbadać wszystkie te warunki, które jedno i drugie: wielkiego męża i jego pokolenie wytworzyły<sup>11</sup>.

Cóż, wydaje mi się, że jest coś niemal zuchwałego w tym, jak pan Spencer usiłuje, w pierwszym zdaniu powyższego fragmentu, wyrzucać ogólnikowość tym, którzy wierzą w zdolność inicjatywy wielkiego człowieka.

Załóżmy, że powiem iż ów niezwykły umiar, który wyróżnia obecnie społeczność, polityczną i religijną dyskusję w Anglii i tak mocno kontrastuje z bigoterią i dogmatyzmem sprzed sześćdziesięciu lat – w większości przypisać należy J. S. Millowi. Być może myślę się co do faktów; w każdym razie, „pytam o szczegóły” a nie „zadawałam się powierzchowną wiedzą”. I jeśli pan Spencer powie mi, że żadne osobiste oddziaływanie nie zapoczątkowało takiego stanu rzeczy, lecz stało się to dzięki „wszystkim warunkom”, „pokoleniu”, z którego Mill i wszyscy jemu współcześni „powstali”, krótko mówiąc, dzięki całemu minionemu porządkowi natury – to z pewnością on, nie ja, będzie osobą „zadowolającą się powierzchowną wiedzą”.

Prawda jest taka, że socjologiczna metoda pana Spencera jest tożsama z tą, która powołuje się na zodiak, by wyjaśnić spadnięcie wróbla oraz na trzynastoosobowy skład przy stole, by wyjaśnić śmierć wspomnianego już dżentelmena. Ma to niewiele większą wartość naukową niż orientalna metoda odpowiadania na wszelkie pytania nienagannym truizmem, „Bóg jest wielki”. *Nieuciekanie* się do bogów, tam gdzie można znaleźć bliższą zasadę, od dawna stało się dla nas ludzi Zachodu oznaką sprawnego i racjonalnego umysłu w odróżnieniu od umysłu nieracjonalnego.

Przekonanie, że przyczyna wszechrzeczy tkwi w ich poprzednikach jest punktem wyjścia, wstępnym postulatem, nie zaś celem i ukoronowaniem nauki. Jeśli ma nas ona po prostu wyprowadzić z labiryntu tym samym wejściem, jakim weszliśmy trzy lub cztery tysiące lat temu – to zdaje się, że kroczenie za nią poprzez ciemności nie miało większego sensu. Jeśli cokolwiek może być po ludzku pewne, to fakt, że społeczeństwo wielkiego człowieka – słusznie tak nazwane – *nie* kształtuje go zanim on nie przekształci społeczeństwa. Siły fizjologiczne – z którymi uwarunkowania społeczne, polityczne, geograficzne oraz w znacznym stopniu antropologiczne mają tak dużo i tak mało wspólnego, ile wspólnego mają uwarunkowania krateru Wezuwiusza z migotaniem gazu, przy którym piszę – oto co go kształtuje. Czy to możliwe, by pan Spencer obstawał przy tym, że zbieżność nacisków socjologicznych tak uderzyła w Stradford-upon-Avon około 26 kwietnia 1564 roku, że niejaki William Shakespeare, ze wszystkimi niezwykłymi przymiotami swego umysłu, mu-

<sup>11</sup> H. Spencer, *Wstęp do socjologii*, tłum. H. Goldberg, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1884, s. 33-34; pisownia zgodna z tym wydaniem (przyp. tłum).

siał się tam narodzić – tak jak i napór wody na pewną łódź wywoła wsączenie się strumienia wody o pewnym kształcie przez konkretną szczelinę? I czy chce on przez to powiedzieć, że jeśliby wyżej wspomniany William Shakespeare zmarł na cholere w niemowlęctwie, to inna matka w Stradford-upon-Avon musiałaby zrodzić jego wierną kopię, by przywrócić równowagę socjologiczną? A może ów zastępca narodziłby się w „Stradford-atte-Bowe”? Trudno tutaj, czy gdzie indziej, wśród tych ogólników pana Spencera, stwierdzić o co w ogóle mu chodzi.

W jego uczniu, natomiast, panu Grancie Allenie, odnajdujemy kogoś, kto nie pozostawia najmniejszej wątpliwości co do dokładnego sensu wyrażanych przez siebie treści. Ten doskonale poinformowany, sugestywny i błyskotliwy autor opublikował w ubiegłym roku parę artykułów na łamach *Gentleman's Magazine*, w których to utrzymuje, że jednostki nie posiadają żadnej inicjatywy w wyznaczaniu zmiany społecznej.

Różnice pomiędzy jednym a drugim narodem, czy to dotyczące umysłu, handlu, sztuki, wartości moralnych, czy ogólnego usposobienia, zależą ostatecznie nie od jakichś tajemniczych właściwości danej rasy, narodowości, czy jakichkolwiek innych nieznanymi i niezrozumiałymi abstrakcji, lecz po prostu i wyłącznie od warunków fizycznych, na których działanie narody te są wystawione. Jeśli tak jest, a przecież wiemy, że tak jest, iż Francuzi różnią się znacznie od Chińczyków, a mieszkańcy Hamburga różnią się znacznie od mieszkańców Timbaktu – to owe znane i widoczne różnice pomiędzy nimi wynikają całkowicie z położenia geograficznego rozmaitych ras. Gdyby mieszkańcy Hamburga zamieszkali niegdyś Timbaktu, nie dałoby się ich teraz odróżnić od na wpół barbarzyńskich murzynów zamieszkujących tę środkowoafrykańską metropolię<sup>12</sup>; a gdyby mieszkańcy Timbaktu zamieszkali niegdyś Hamburg, byłiby teraz białymi kupcami robiącymi świetny interes na podróbce sherry i niestrawnym porto. [...] Sprawcy tej różnicy szukać należy w wielkich trwałych cechach geograficznych lądu i morza; [...] to właśnie one siłą rzeczy nieuchronnie uformowały charakter i historie każdego narodu na ziemi. [...] Nie można uważać narodu za aktywnego sprawcę tego, co go wyróżnia. Cel taki osiągnąć mogą jedynie warunki otoczenia. [Te dwa zdania dogmatycznie przeczą istnieniu względnie niezależnego fizjologicznego cyklu przyczynowości – dop. W.J.] Inne założenie oznaczałoby, że umysł człowieka zwolniony jest od powszechnego prawa przyczynowości. W ludzkich przedsięwzięciach nie ma żadnego kaprysu, żadnego samoistnego impulsu. Nawet gusta i skłonności muszą wynikać z przyczyn obecnych w otoczeniu<sup>13</sup>.

---

<sup>12</sup> Ależ nie, nawet, gdyby byli fizycznymi [może biologicznymi] braćmi! Czynniki geograficzne znikają zupełnie w obecności czynnika dziedziczenia. Różnica pomiędzy Hamburgiem a Timbaktu jako przyczyna podstawowej rozbieżności pomiędzy dwiema rasami jest niczym wobec różnicy w budowie fizycznej przodków obu ras, nawet gdyby, tak jak w przypadkach bliźniaków, nie była widoczna gołym okiem. Żadne dwie pary najbardziej homogenicznej rasy nie mogłyby być tak identyczne – znalazłszy się w identycznych środowiskach – by dać początek dwóm identycznym rodóm. Początkowa drobna rozbieżność pogłębia się z każdym pokoleniem i ostatecznie prowadzi do całkowicie niepodobnych rodów.

<sup>13</sup> Artykuł *Nation Making* [Tworzenie narodu] w „*Gentleman's Magazine*”, 1878. Cytuję z przedruku w „*Popular Science Monthly Supplement*”, grudzień 1878, s. 121, 123, 126.

W innym miejscu, pisząc o kulturze greckiej, pan Allen mówi:

Była ona w zupełności tworem geograficznej Hellady działającej zgodnie z danym czynnikiem nieodróżniającego się aryjskiego mózgu [...]. Wydaje mi się oczywistym twierdzenie, że nic nie może odróżnić jednego zbiorowiska ludzi od drugiego, z wyjątkiem warunków fizycznych, w których zbiorowiska te zostały umieszczone – określenie warunki fizyczne obejmuje związki miejsca i czasu, w których znajdują się one w odniesieniu do innych zbiorowisk ludzi. Inne założenie przeczyłoby pierwotnemu prawu przyczynowości. Wyobrażenie, że umysł potrafi odróżnić się sam jest równoznaczne z wyobrażeniem, że można go odróżnić bez żadnej przyczyny<sup>14</sup>.

Ten okrzyk protestu przeciwko niweczeniu prawa powszechnej przyczynowości – z chwilą, gdy odmówimy angażowania się w ten rodzaj przyczynowości, którym handluje jakaś konkretna szkoła – sprawia, że można stracić cierpliwość. Wyobrażenia tych autorów nie dopuszcza alternatyw. Według nich nie ma *tertium quid* [trzeciej możliwości] pomiędzy środowiskiem zewnętrznym a cudem. *Aut Caesar, aut nullus!* [Albo byc Cezarem, albo nikim]. *Aut spenceryzm aut katechizm!*

Jeśli przez „warunki fizyczne” pan Allen rzeczywiście rozumie to, co napisał – zewnętrzny cykl widzialnej natury i człowieka – jego twierdzenie jest z fizjologicznego punktu widzenia fałszywe. Albowiem umysł narodu odróżnia sam „siebie” za każdym razem, gdy pośród niego narodzi się geniusz z przyczyn działających w niewidocznym cyklu molekularnym. Jeśli jednak pan Allen przez „warunki fizyczne” rozumie całą naturę, to jego twierdzenie, aczkolwiek prawdziwe, tworzy jedynie mgliste azjatyckie wyznanie wiary we

wszecmogarniające fatum, które z pewnością nie musi pysnić się żadnym szczególnie zaawansowanym czy naukowym charakterem.

I jak to możliwe, że tak bystry myśliciel jak pan Allen nie dokonał w tych kwestiach rozróżnienia pomiędzy warunkami *koniecznymi* a warunkami *wystarczającymi* do osiągnięcia danego rezultatu? Francuzi mówią, że jeśli chcemy mieć omlet, musimy rozbić jaja; czyli rozbicie jaj jest warunkiem koniecznym do przyrządzenia omletu. Lecz czy jest to warunek wystarczający? Czy będziemy mieć omlet, kiedy rozbijemy trzy jaja? Podobnie rzecz ma się z umysłem greckim. Być może wymiana handlowa ze światem, jaką umożliwiła geograficzna Hellada, była warunkiem koniecznym dla osiągnięcia tak wszechstronnej inteligencji. Lecz jeśli był to warunek wystarczający, dlaczego Fenicjanie nie przewyższyli Greków inteligencją? Żadne środowisko geograficzne nie potrafi wytworzyć danego typu umysłu. Może ono jedynie rozwijać i promować jedne przypadkowo powstałe typy, bądź przeskadzać i blokować inne. I znów funkcja jego ma tu charakter jedynie selektywny decydując, jaki będzie rzeczywisty stan rzeczy wyłącznie poprzez usuwanie tego,

<sup>14</sup> Artykuł pt. *Hellas* w „Gentleman's Magazine”, 1878. Cytuję z przedruku w „Popular Science Monthly Supplement”, wrzesień 1878.



co jest zdecydowanie niezgodne. Nie będzie zgodności pomiędzy środowiskiem arktycznym a rozrzutnymi nawykami jego mieszkańców; jednak czy mieszkańcy takiego regionu ze swą oszczędnością połączą spokój Eskimosów, czy też wojowniczość wikingów, będzie, w odniesieniu do klimatu, dziełem przypadku. Ewoluści nie powinni zapominać, że wszyscy posiadamy pięć palców, nie dlatego, że cztery czy sześć nie spełniałoby tej samej funkcji, lecz jedynie dlatego, że tak się złożyło, iż pierwszy kręgowiec ponad rybami posiadał taką właśnie liczbę palców. Swoje ogromne powodzenie w zapoczątkowaniu linii dziedziczenia zawdzięcza on zupełnie innej właściwości – nie wiemy jakiej – jednak owe nieistotne pięć palców towarzyszy mu do dnia dzisiejszego. Podobnie dzieje się w przypadku większości szczególnych cech spotecznych. Które z nich będą towarzyszyć nielicznym właściwościom wymaganym jako niezbędne przez środowisko – to kwestia rodzaju przypadków fizjologicznych, jakie zdarzą się wśród jednostek.

Pan Allen obiecuje szczegółowo udowodnić swoją tezę na przykładzie Chin, Indii, Anglii, Rzymu itp. Śmiem twierdzić, że nie wykaże on nic więcej w tych przykładach ponad to, co wykazał na przykładzie Hellady. Pojawi się na miejscu zdarzenia już po fakcie i wykaże, że właściwość powstała w obrębie każdej rasy, naturalnie nie była niezgodna z jej środowiskiem. Nie wykaże on jednak zupełnie tego, że ta konkretna forma zgodności w każdym przypadku była formą konieczną i jedynie możliwą.

Naturaliści dobrze wiedzą, jak nieokreślona jest harmonia pomiędzy fauną a jej środowiskiem. Zwierzę może podnieść szanse swego przeżycia na wiele sposobów – stając się zwierzęciem wodnym, nadrzewnym lub podziemnym; małym i szybkim, bądź potężnym i zwalistym; kolczastym, rogowatym, oślizłym lub jadowitym; bardziej płochliwym lub wojowniczym; sprytniejszym lub bardziej płodnym; bardziej towarzyskim lub bardziej samotnym; lub też na inne sposoby, z których każdy może dopasować zwierzę do wielu bardzo różnych środowisk.

Czytelnicy pana A. R. Wallace'a doskonale zapewne pamiętają znamienny tego przykład w jego *Malay Archipelago* [Archipelagu Malajskim]:

Borneo bardzo przypomina Nową Gwineę nie tylko pod względem dużej powierzchni i braku wulkanów, lecz także pod względem różnorodności budowy geologicznej, jednolitości klimatu oraz ogólnego wyglądu leśnej roślinności, która pokrywa jej powierzchnię; Moluki są odpowiednikiem Filipin w swej wulkanicznej budowie, wyjątkowej żyzności, ze swymi bujnymi lasami i częstymi trzęsieniami ziemi; a Bali wraz ze wschodnim wybrzeżem Jawy, charakteryzuje się klimatem niemal tak suchym i glebą niemal tak jałową jak klimat i gleba na Timorze. Jednakże pomiędzy tymi odpowiadającymi sobie grupami wysp, zbudowanych niejako podług tego samego wzoru, poddanych działaniu tego samego klimatu i obmywanych tymi samymi oceanami – istnieje ogromna różnica w powstawaniu zwierząt. Nigdzie indziej starożytna doktryna mówiąca, że różnice lub podobieństwa różnych form życia zamieszkujących różne kraje wynikają z odpowiadających im różnic lub podobieństw fizycznych samych tych krajów – nie spotyka się z tak bezpo-

średnim i ewidentnym zaprzeczeniem. Borneo i Nowa Gwinea tak podobne do siebie fizycznie jak tylko jest to możliwe w przypadku dwóch różnych krajów – pod względem zoologicznym stanowią dwa przeciwległe bieguny; podczas gdy Australia mimo swych suchych wiatrów, otwartych równin, kamienistych pustyń i umiarkowanego klimatu rodzi ptaki i czworonogi bardzo podobne do tych, jakie zamieszkują gorące, wilgotne, bujne lasy, które wszędzie pokrywają równiny i góry Nowej Gwinei<sup>15</sup>.

Mamy tutaj podobne pod względem fizyczno-geograficznym środowiska harmonizujące z ogromną różnicą w życiu zwierząt oraz podobne życie zwierząt harmonizujące ze znacznie różniącymi się od siebie środowiskami geograficznymi. Znakomity autor, E. Gryzanowski, w „North American Review”, posłużył się przykładem Sardynii i Korsyki niezwykle skutecznie popierając powyższą tezę. Pisze tak:

Te siostrzane wyspy położone w samym środku Morza Śródziemnego, w niemal równych odległościach od cywilizacji klasycznej i neoklasycznej z łatwym dostępem do Fenicjan, Greków i Saracenów, z ponad tysięczną linią brzegową, obdarzone oczywistymi i kuszącymi zaletami oraz kryjące niewypowiedziane źródła bogactwa rolnego i mineralnego – mimo to pozostały nieznane, zlekceważone i z pewnością zaniedbane podczas trzydziestu wieków historii europejskiej. [...] Wyspy te posiadają dialekty, lecz nie posiadają własnego języka; wspomnienia bitew, lecz nie historii. Mają obyczaje, lecz nie mają przepisów prawnych; *vendettę*, lecz nie sprawiedliwość. Mają potrzeby i bogactwo, lecz nie mają handlu; drewno i porty, lecz nie żeglugę. Mają legendy, lecz nie mają poezji; piękno, lecz nie sztukę; a dwadzieścia lat temu można było powiedzieć, że mają uniwersytety, lecz nie mają studentów. [...] To, że Sardynia przy całym swym emocjonalnym i barwnym barbarzyństwie nigdy nie wydała na świat ani jednego artysty jest niemal tak dziwne, jak samo jej barbarzyństwo. [...] W pobliżu centrum europejskiej cywilizacji, w takim miejscu, które geograf *a priori* wskazałby jako najdogodniejsze miejsce dla rozwoju materialnego i intelektualnego, handlowego i politycznego – te dziwne siostrzane wyspy trwają w swym odwiecznym śnie niczym *punkty cisy* (*nodes*) na płycie rezonansowej historii<sup>16</sup>.

Autor ten następnie dość szczegółowo porównuje Sardynię i Sycylię. Wszystkie zalety materialne są po stronie Sardynii „a jej populacja, o pochodzeniu bardziej zróżnicowanym niż [nawet] pochodzenie rasy angielskiej, uzasadniałaby znacznie większe oczekiwania niż te wobec Sycylii”<sup>17</sup>. Jednak przeszłość Sycylii była olśniewająca, a jej dzisiejszy handel kwitnie. Dr Gryzanowski [sic!] ma własną teorię na historyczne odrętwienie owych wyróżnionych wysp. Jego zdaniem wyspy te trwały w zastoju, ponieważ nigdy nie zdobyły autonomii politycznej, będąc zawsze pod

<sup>15</sup> A. R. Wallace, *Malay Archipelago*, vol. I, Macmillan and Co., London 1869, s. 24.

<sup>16</sup> E. Gryzanowski, *The Regeneration of Italy*, „North American Review”, October 1871, s. 318-319.

<sup>17</sup> Tamże, s. 320.

władaniem kontynentu europejskiego. Nie będę się spierał z tą teorią; zapytam jednak: Dlaczego jej nie zdobyły? I natychmiast odpowiem: Po prostu, dlatego że nie narodziły się tam żadne jednostki o wystarczającym patriotyzmie i zdolne rozpaść w swych rodakach narodową dumę, ambicję i pragnienie niezależnego życia. Korsykanie i Sardyjczycy nie ustępują zapewne w niczym swoim sąsiadom. Lecz nawet najlepsze drewno opałowe nie będzie płonąć, dopóki nie przyłożymy doń pochodni, a w tym wypadku zdaje się, że zabrakło stosownych pochodni<sup>18</sup>.

Wielcy ludzie pojawiają się od czasu do czasu wszędzie. By jednak społeczeństwo mogło w pełni doświadczać intensywnego i aktywnego życia – potrzeba wielu geniuszy naraz jednego za drugim. Dlatego właśnie wielkie epoki zdarzają się tak rzadko – skąd taki nagły rozkwit Grecji, wczesnego Rzymu, Renesansu – pozostaje tajemnicą. Cios musi padać za ciosem tak szybko, by nie można było w międzyczasie ochłonać. Dopiero wówczas cały naród świeci jasnym płomieniem, który może płonąć czystą siłą bezwładności jeszcze długo po śmierci twórców jego wewnętrznego ruchu. Często słyszymy wyrazy zdumienia nad tym, że w owych szczytowych momentach ludzkich spraw, nie tylko lud napętnia się siłą życia, lecz i geniusze są wyjątkowo liczni. Jest to tajemnica niemal tak głęboka, jak uświęcona tradycja

<sup>18</sup> Doskonale uświadamiam sobie, że w większości mojej dalszej wypowiedzi (choć brak tego w wypowiedzi dotychczasowej), zdaję się krzyżować z dobrze naostrzonym mieczem pana Galtona, którego żmudne badania nad dziedzicznością geniuszu darzę najgłębszym szacunkiem. Pan Galton skłania się ku przekonaniu, że geniusz intelektu i pasji musi znaleźć swój wyraz, bez względu na zewnętrzną sposobność oraz, że w obrębie każdej rasy musi narodzić się jednakowa liczba geniuszy wszelkiej rangi w równych odstępach czasu; rasa podległa żadną miarą nie może zrodzić znacznej liczby geniuszy wysokiej klasy itd. Podejrzewam, że doszedłby on do wniosku, iż przypuszczenia, do jakich niniejszym przechodzę – na temat przypadkowego gromadzenia się wielkich ludzi wokół danej epoki i czynienia jej wielką oraz na temat przypadkowej ich nieobecności w pewnym miejscu i czasie (na Sardynii, w dzisiejszym Bostonie itd.) – są z gruntu fałszywe. Nie sądzę, jednak, by oddawał on sprawiedliwość wielkiej złożoności warunków skutecznej [a może: faktycznej, rzeczywistej] wielkości, ani też temu w jaki sposób fizjologiczne średnie powstawania mogą być całkowicie zamaskowane przez długi czas, albo poprzez przypadkową śmiertelność geniuszy w niemowlęctwie, bądź dlatego, że tak się złożyło, iż konkretni zrodzeni geniusze nie znaleźli dla siebie zadań do wykonania. Wątpię w prawdziwość jego twierdzenia, że geniusz *intelektualny* „wyjdzie na jaw”, tak jak morderstwo. To prawda, że pewnych typów nie da się powstrzymać. Nie do pomyslenia jest, by życie Voltaire’a, Shelleya, Carlyle’a było tępą rośliną w jakiegokolwiek epoce. Weźmy jednak samego pana Galtona, weźmy jego kuzyna pana Darwina i weźmy pana Spencera: sądzę, że nietrudno wyobrazić sobie, iż w innej epoce wszyscy trzej umarliby może „nie wyśpiewawszy swej pieśni”, znani tylko swym przyjaciom jako osoby o silnym i niezwykłym charakterze i osądzie. Osiągnięcie przez nich rzeczywistej wielkości umożliwiło im to, że przez przypadek natknęli się na zadanie wystarczająco rozległe, znakomite i odpowiednie, by wymagało zbieżności wszystkich ich pasji i zdolności. Nie widzę powodu, dla którego – na wypadek, gdyby nie zgodzili się ze swymi licznymi pasjami w sprzyjających okresach ich życia – mieliby natknąć się na inne pasje i stać się jednakowo wielkimi. Ich przypadek wydaje się podobny do przypadku Waszyngtonów, Cromwellów i Grantów, którzy po prostu stanęli na wysokości zadania. Lecz prócz powyższych przyczyn błędnego rozumowania, usilnie skłaniam się ku przekonaniu, że jeśli chodzi o geniuszy najwyższego rzędu, ich liczba jest tak niewielka, że ich pojawienia się nie można dopasować do żadnego układu średnich. Oznacza to, że dwóch lub trzech może pojawić się jednocześnie, tak jak i zdarza się wystrzelić kolejno trzy kule najbliższej środka tarczy. Gdyby tak wziąć dłuższe epoki i więcej strzelania, to wielcy geniusze i blisko położone kule byłiby na ogół bardziej rozproszeni.

zagadka wielkich rzek opływających wielkie miasta. Prawdą jest, że wielkie społeczne poruszenia wzbudzają i przyjmują wielu geniuszy, którzy nie mieliby szansy działania w czasach większego odrętwienia. Ponad to, jednak i przede wszystkim, by takie poruszenie w ogóle zapoczątkować, musi zaistnieć wyjątkowa zbieżność geniusza i czasu. Nieprawdopodobieństwo takiej zbieżności jest o wiele większe niż nieprawdopodobieństwo pojawienia się konkretnego geniusza; stąd rzadkość tych okresów i owa wyjątkowa postać, jaką zawsze przybierają.

Szaleństwem zatem byłoby mówić o „prawach historii” jako o czymś nieuchronnym, co nauka może jedynie odkryć, a czego konsekwencje przepowiedzieć może każdy, nic jednak nie można zrobić, by je zmienić lub im zapobiec. Dlaczegoż same prawa fizyki są warunkowe i zajmują się *jeśli*. Fizyk nie powie: „Woda będzie wrzeć tak czy owak”; powie on jedynie, że będzie ona wrzeć, jeśli rozpalimy pod nią ogień. Tak więc student socjologii przewidzieć może co najwyżej, że *jeśli* jakiś geniusz wskaże drogę, społeczeństwo z pewnością podaży za nim. Dawno już można było przewidzieć z dużą dozą pewności, że zarówno Włochy, jak i Niemcy osiągnęłyby stabilną jedność, gdyby komuś udało się choćby rozpocząć ten proces. Nie można było jednak przewidzieć, że *modus operandi* w każdym z tych przypadków będzie raczej podporządkowanie się nadrzędnemu państwu niż federacja, ponieważ żaden z historyków nie wziął pod uwagę takich anomalii narodzin i zrzędzenia losu, które w tym samym czasie obdarzyły władzą trzy tak osobliwe jednostki, jak Napoleon III, Bismarck i Cavour. Podobnie rzecz ma się z naszą polityką. Pewnym jest, że ruch niezależnych, reformatorów, czy jakkolwiek ich nazwiemy – zatriumfuje. Lecz czy stanie się to poprzez nawrócenie partii republikańskiej ku jej celom, czy też poprzez wzniesienie nowej partii na ruinach obu naszych obecnych frakcji – tego historyk nie potrafi stwierdzić. Nie ma wątpliwości, że ruch reformatorski uczyniłby większy postęp w ciągu jednego roku posiadając odpowiedniego przywódcę niż czyni obecnie w ciągu lat dziesięciu bez takowego przywódcy. Gdyby znalazł się wielki obywatel, o doskonałych zdolnościach obywatelskich, aby być kandydatem na takiego przywódcę – ktośby wątpił, że poprowadziłby nas on do zwycięstwa? Lecz tymczasem, my, jego środowisko, wzdychające za nim i chętne, by go zachować i przyjąć, gdyby się pojawił – ani nie możemy się bez niego ruszyć, ani nic zrobić, by go wydać na świat.

Na zakończenie: kiedy ewolucyjne ujęcie historii przeczy decydującemu znaczeniu inicjatywy indywidualnej, staje się wówczas zupełnie mglistym i nienaukowym pojęciem, odstępstwem od nowoczesnego determinizmu naukowego na rzecz starożytnego orientalnego fatalizmu. Lekcja analizy, jaką właśnie odbyliśmy (nawet biorąc pod uwagę całkowicie deterministyczną hipotezę, od której zaczęliśmy) stanowi apel o charakterze niezmiernie stymulującym do energii i sił jednostki. Nawet zacięty opór reakcyjnego konserwatysty wobec zmian, których nie może całkowicie zwalczyć, jest uzasadniony i jak się okazuje – skuteczny. Konserwatysta taki opóźnia ruch [społeczny]; zmienia trochę jego kierunek poprzez ustępstwa, jakie stara się wymóc; nadaje mu pewien rozmach stanowiący wypadkową własnego

bezwładu i pędu swoich przeciwników; i, krótko mówiąc, utrzymuje stały nacisk z boku, który z pewnością nigdy nie każe mu krążyć w kółko, lecz doprowadza go w końcu do celu bardziej na prawo lub na lewo od tego, do którego ruch ten by podryfował, gdyby pozwolić mu płynąć samodzielnie<sup>19</sup>.

Przejdę teraz do ostatniej części mojego tematu, funkcji środowiska w ewolucji *umysłowej*. Po tym, co już powiedziałem, mogę pozwolić sobie na zwięzłość. Tutaj, bardziej niż gdziekolwiek, wydawałoby się na pierwszy rzut oka, że ta szkoła ma słuszność, zdaniem której umysł jest biernie plastyczny, a środowisko aktywnie nadające postać i porządek jego pojęciom; czyli, jednym słowem, szkoła, która uważa, że wszelki postęp umysłowy musi wypływać z szeregu zmian adaptacyjnych, w zdefiniowanym już poprzednio tego słowa znaczeniu. Wiemy, że olbrzymia część naszego uposażenia umysłowego składa się z czysto zapamiętanego, a nie przemyślanego doświadczenia. Tu znajduje się cały obszar naszych nawyków i skojarzeń bezpośrednich (*associations by contiguity*). Znajduje się tu także cały obszar abstrakcyjnych pojęć, jakich wyuczono nas wraz z mową ojczystą. Co więcej, istnieją podstawy, by sądzić, że porządek „zewnątrznych związków” (*outer relations*) doświadczanych przez jednostkę sam w sobie już może określić porządek, według którego tkwiące weń ogólne właściwości będą dostrzegane i wydobywane przez jej umysł<sup>20</sup>. Ponadto, przyjemności i korzyści dostarczane przez niektóre obszary środowiska oraz ból i przykrości wyrządzane przez inne obszary, wyznaczają kierunek naszego zainteresowania i uwagi, decydując w ten sposób, w których momentach rozpocznie się gromadzenie doświadczeń psychicznych. Może się zatem wydawać, że nie ma miejsca na żaden inny rodzaj sprawstwa; tak jakby to, naszym zdaniem, przydatne rozróżnienie pomiędzy „samoistną zmianą”, jako twórcą zmienionych form a środowiskiem zachowującym je bądź niszczącym – nie miało zastosowania do rozwoju umysłowego; jednym słowem, tak jakby porównanie z darwinizmem mogło już nie obowiązywać a Spencer miałby całkowitą rację w swojej fundamentalnej zasadzie inteligencji, która mówi: „Spójność pomiędzy stanami psychicznymi jest proporcjonalna do częstotliwości z jaką powtarza się w doświadczeniu związek pomiędzy odpowiadającymi zjawiskami zewnętrznymi”.

Mimo tych faktów, nawet w tym miejscu nie waham się ani trochę obstawać przy rozróżnieniu darwinowskim. Twierdzę, że wszystkie rzeczony fakty zaczerpnięte są z niższych warstw umysłu, że tak to ujmę – ze sfery jego najmniej rozwiniętych funkcji, z tego obszaru inteligencji człowieka, który wspólny jest dla niego i zwierząt. Mogę też z łatwością wykazać, że w całej rozciągłości tych obszarów

---

<sup>19</sup> Od momentu napisania tego wystąpienia, prezydent Cleveland do pewnego stopnia zaspokoił tę potrzebę. Czy można jednak wątpić, że gdyby posiadał on jakieś inne cechy, jakimi się jeszcze nie wykazał, jego wpływ byłby jeszcze bardziej decydujący? (1896.)

<sup>20</sup> Innymi słowy, jeśli jakaś ogólna właściwość będzie się nieprzerwanie powtarzać w naszym zewnętrznym doświadczeniu wraz z licznymi zdecydowanie skonstrastowanymi czynnikami towarzyszącymi, zostanie ona szybciej wyodrębniona niż wówczas, gdy jej towarzysze są niezmienni i jednostajni.

umysłowych, które są wyższe, bardziej charakterystyczne dla człowieka – zasada Spencera łamana jest na każdym kroku; prawdę mówiąc, nowe pojęcia, emocje oraz aktywne tendencje, które się rozwijają, pierwotnie powstają w postaci przypadkowych obrazów, wrażeń, przypadkowego pojawienia się samoistnych zmian w funkcjonowaniu wyjątkowo niestabilnego ludzkiego mózgu, który zewnętrzne środowisko potwierdza lub obala, przyjmuje lub odrzuca, zachowuje lub niszczy – krótko mówiąc, wybiera, podobnie jak wybiera zmiany morfologiczne lub społeczne wynikające z analogicznych przypadków molekularnych.

Jednym z najbardziej banalnych truizmów jest stwierdzenie, że ludzkie inteligencje prostego rzędu są bardzo dosłowne. Są niewolnikami przyzwyczajenia, robiącymi to, czego ich nauczono bez żadnej odmiany; ich uwagi są suche, prozaiczne i rzeczowe; są pozbawione poczucia humoru z wyjątkiem tego ordynarnego, fizycznego, który lubuje się w płatanii figli; uważają świat za coś oczywistego; ich wierność i uczciwość to jedyne zdolności, którymi czasami potrafią wzbudzić w nas podziw. Lecz nawet ta wierność wydaje się mieć nieorganiczne brzmienie i przypominać bardziej niezmiennie właściwości cząstki nieożywionej materii niż niezłomność ludzkiej woli zdolnej do alternatywnego wyboru. Jeśli zniżymy się do zwierząt, wszystkie owe cechy nasilają się. Żaden czytelnik Schopenhauera nie może zapomnieć jego częstych aluzji do *trockener Ernst* (oschłej powagi) psów i koni ani też do ich *Ehrlichkeit* (uczciwości). I każdy obserwator ich zachowania musi odnieść głębokie wrażenie całkowicie dosłownego charakteru tych nielicznych, prostych i monottonnych procesów zachodzących w ich umyśle.

Zwróćmy się jednak ku umysłom najwyższego rzędu – i co za zmiana! Zamiast myśli o konkretach cierpliwie kroczących jeden za drugim utartym szlakiem zwykłej sugestii, mamy tu najbardziej raptowne skrót i przejścia z jednej strony na drugą, najbardziej oderwane od rzeczywistości abstrakcje i rozróżnienia, najbardziej niesłychane kombinacje elementów, najsubtelniejsze skojarzenia analogii; słowem, zdaje się, że nagle wprowadzono nas do kipiącego kotła myśli i wyobrażeń, gdzie wszystko syczy, podskakuje w stanie oszałamiającej aktywności, gdzie w jednej chwili powstają związki, bądź się rozluźniają, nieznana jest monotonia, a jedynym prawem zda się to, co niespodziewane. Zgodnie ze swoistym charakterem jednostek, błyskotliwość też będzie różnego rodzaju. Będą to dowcipne uwagi; przebłyty poezji i elokwencji; tworzenie dzieł literackich lub też urządzeń mechanicznych, abstrakcji logicznych czy filozoficznych, przedsięwzięć handlowych, czy też naukowych hipotez wraz z całą serią wypływających z nich eksperymentalnych konsekwencji; będą to dźwięki muzyki, obrazy plastycznego piękna bądź malowniczości albo też wizje harmonii moralnej. Bez względu jednak na różnice, wszystkie będą posiadały jedną wspólną cechę – nagłą i jak gdyby samoistną genezę. Innymi słowy, te same przesłanki nie zrodziłyby w umyśle innej jednostki takiego właśnie wniosku; chociaż, gdyby zaproponować ten wniosek innej jednostce, może ona w zupełności go zaakceptować i zeń korzystać oraz zazdrościć błyskotliwości umysłu temu, któremu najpierw przyszedł on [wniosek] do głowy.



Ogromne uznanie należy się prof. Jevonsowi za dobitne ukazanie tego, w jaki sposób geniusz odkrycia zależy całkowicie od ilości owych przypadkowych pomysłów i przypuszczeń, jakie nawiedzają umysł badacza. Pierwszym koniecznym warunkiem jest płodność w hipotezy, drugim – zdolność do ich odrzucenia w chwili, gdy zaprzeczy im doświadczenie. Niejednokrotnie może być tu pomocna baco-nowska metoda tablic porównawczych (*collating tables*) przypadku. Z równym powodzeniem można by oczekiwać, że notatnik chemika sam zapisze nazwę analizowanego ciała, albo że tabela pogody z własnej inicjatywy podsumuje się tworząc prognozę – co spodziewać się, że sama tylko konfrontacja umysłu z pewną serią faktów wystarczy do tego, by *jakikolwiek* mózg stworzył/sformułował rządzącą nimi zasadę. Formułowanie zasady jest samoistną zmianą (*spontaneous variation*) w najściślejszym tego terminu znaczeniu. Rozbłyśnie ona z tego, a nie innego, mózgu, ponieważ jego niestabilność każe mu przechylić się właśnie w tym konkretnym kierunku. Ważne, by zwrócić uwagę na to, że dobre i złe przebłyski, triumfalne hipotezy i absurdalne koncepty mogą mieć jednakowe pochodzenie. Absurdalna fizyka Arystotelesa oraz jego nieśmiertelna logika wyphywają z tego samego źródła: siły, które utworzyły tę pierwszą, utworzyły i tę drugą.

Idąc ulicą i myśląc o błękitnym niebie i wspaniałej wiosennej pogodzie, mogę albo uśmiechnąć się na myśl o jakiejś groteskowej zachciance, albo też mogę uchwycić pomysł rozwiązania dawno nierozwiązanego problemu, o którym w danym momencie wcale nie myślałem. Obie myśli wyspały się z tego samego zbiornika – zbiornika mózgu, w którym odtwarzanie obrazów w związkach ich zewnętrznego utrzymywania się lub częstotliwości już dawno przestało być dominującą zasadą. Myśl jednak, raz już zrodzona, może zostać uświęcona zgodnością z zewnętrznymi związkami. Koncept ginie po chwili i zostaje zapomniany. Hipoteza naukowa budzi we mnie gorączkowe pragnienie weryfikacji. Czytam, piszę, eksperymentuję, zasięgam rady ekspertów. Moja myśl znajduje wszędzie potwierdzenie, a następnie będąc opublikowana w postaci książki rozprzestrzenia się od recenzji do recenzji, z ust do ust – aż w końcu nie ma wątpliwości, jestem otoczony czcią na Panteonie wielkich wróżbitów zwyczajów natury. Środowisko *zachowuje* koncepcję, której nie mogło stworzyć w żadnym mózgu mniej swoistym niż mój.

Otóż samoistnym aktywnościom mózgu w tę czy tamtą stronę w konkretnym czasie ku konkretnym myślom i kombinacjom towarzyszą równie samoistne nachylenia lub spadki w określonych kierunkach. Dość charakterystyczna jest zdolność poczucia humoru; równie charakterystyczna jest zdolność do porywów uczuciowych. A osobisty ton każdego umysłu, który sprawia, że ożywia się on pewnymi wrażeniami, otwiera bardziej na pewne argumenty, również wyphywa z niewidocznego i wyobraźalnego oddziaływania sił wzrostu w obrębie układu nerwowego, który nieodpowiedzialny wobec [sic!; „niewrażliwy na” – dop. W.J.] środowiska, sprawia, że mózg ma szczególną tendencję do funkcjonowania w dany sposób. I znów zachodzi tu selekcja. Twory umysłu o określonych zdolnościach estetycznych albo zadowolają społeczeństwo albo nie. Przyjmując Wordswortha, stajemy

się niesentymentalni i pogodni. Fascynuje nas Schopenhauer i poznajemy dzięki niemu prawdziwy luksus niedoli. Przyjęta zdolność staje się zacyzmołwaniem w społeczeństwie i zmienia jego charakter. Zmiana taka może być korzystna lub pechowa, jako że jest ona (z całym szacunkiem dla pana Allena) rozróżnieniem od wewnątrz, które musi być wystawione na działanie znacznie większej mocy selektywnej środowiska. Cywilizowana Langwedocja (*Languedoc*), przyjmując ton swoich uczonych, poetów, książąt i teologów, stała się ofiarą swego surowego katolickiego środowiska podczas krucjaty albigeńskiej. Francja w 1792 roku, przyjmując ton swoich św. Justów i Maratów, popadła w wieloletni okres niestabilnych stosunków zewnętrznych. Prusy, przyjmując w 1806 roku ton swoich Humboldtów i Steinów, znakomicie udowodniły w 1872 roku, że są „przystosowane” do swego środowiska.

W jednym z najdziwniejszych rozdziałów swojej *Psychology*, pan Spencer usiłuje ukazać konieczny porządek, według którego dokonuje się rozwój pojęć u rasy ludzkiej. Zdaniem Spencera żadne abstrakcyjne pojęcie nie może powstać, dopóki zewnętrzne doświadczenia nie osiągną pewnego poziomu różnorodności, precyzji, zgodności itd.

Zatem, wiara w niezmienny porządek, wiara w *prawo*, jest wiarą, do jakiej człowiek prymitywny jest całkowicie niezdolny. [...] Zdobywane przezeń doświadczenia dostarczają nielicznych zaledwie danych dla pojęcia jednolitości, czy to ukazanego w rzeczach czy w relacjach. [...] Codzienne wrażenia doświadczane przez dzikusa dają niedoskonałe wyobrażenie w nielicznych zaledwie przypadkach. Spośród wszelkich przedmiotów w otoczeniu – drzew, kamieni, wzgórz, obszarów wodnych, chmur, itd., –większość znacznie się różni, [...] nieliczne zaś bliskie są tak zupełnego podobieństwa, że trudno je rozróżnić. Nawet pomiędzy zwierzętami tego samego gatunku rzadko zdarza się, żeby przyjmowały tę samą pozę, bez względu na to, czy są żywe czy martwe. [...] Dopiero stopniowy rozwój nauk humanistycznych [...] przyniósł częste doświadczenia doskonale prostych linii dopuszczających całkowitą apozycję, przynoszących spostrzeżenia równości i nierówności. Jeszcze bardziej nieobecne w życiu dzikusa są doświadczenia tworzące pojęcie jednolitości następstwa. Następstwa rzeczy obserwowane z godziny na godzinę i z dnia na dzień zdają się cechować wszystko oprócz jednolitości; o wiele bardziej widoczną wśród nich cechą jest różnica. [...] Jeśli więc rozważymy prymitywne ludzkie życie jako całość, widzimy, że skłonne jest ono tworzyć raczej wyobrażenie wielopostaciowości następstw, nie zaś ich jednolitości. [...] Dopiero wówczas, gdy praktykowanie nauk humanistycznych rozwinęło pojęcie miary, świadomość jednolitości umożliwiła jednoczesne pojęcie ścisłości. [...] Stąd prymitywny człowiek ma niewielkie doświadczenie kształtowania świadomości tego, co my nazywamy *prawdą*. Nawet mowa ukazuje jej bliskie pokrewieństwo ze świadomością kształtowaną poprzez praktykowanie nauk humanistycznych. Mówimy o prawdziwej powierzchni, jak też i o prawdziwym stwierdzeniu. Precyzja opisuje zarówno doskonałość mechanicznego odruchu (*mechanical fit*), jak i doskonałą zgodność pomiędzy wynikami obliczeń<sup>21</sup>.

<sup>21</sup> H. Spencer, *Psychology*, part VIII, chap. III (odniesienie wskazane przez Jamesa jest nieprecyzyjne, gdyż w dostępnych w Internecie wydaniach pracy Spencera „The Principles of Psychology”

Cała istotna treść książki pana Spencera ma ukazać nieuchronność, z jaką umysł, w założeniu swym bierny, jest kształtowany poprzez własne doświadczenia „zewnętrznych związków”. W powyższym rozdziale miara, waga, chronometr oraz inne maszyny i przyrządy wliczone są w poczet „związków” zewnętrznych dla umysłu. Z pewnością takie się stają po tym jak zostaną wyprodukowane; lecz tylko ze względu na zachowującą zdolność środowiska społecznego. Pierwotnie wszystkie te rzeczy oraz wszelkie inne były przebłyskami geniuszu w głowie jednostki, którego to geniuszu środowisko zewnętrzne nie wykazało żadnej oznaki. Przyjęte przez rasę [ludzką] stały się jej dziedzictwem, a następnie bodźcem dla nowych geniuszy, których otaczają do dokonywania nowych wynalazków i odkryć; i tak się toczy koło postępu. Wystarczy jednak usunąć geniuszy lub zmienić ich swoistość i jakąż to rosnącą jednolitość ukaże środowisko? Niech no pan Spencer, czy ktokolwiek inny spróbuje nam odpowiedzieć na to pytanie.

Prawda jest taka, że „filozofia” ewolucji (w odróżnieniu od szczególnych informacji na temat konkretnych przypadków zmiany) jest metafizycznym credo i niczym więcej. Jest to bardziej usposobienie kontemplacyjne, postawa emocjonalna niż system myśli – usposobienie stare jak świat, którego nie rozproszy żadna próba obalenia któregośkolwiek z jego wcieleń (takich jak filozofia Spencera); usposobienie fatalistycznego panteizmu, z wiarą w Jednego Absolutnego, który był i jest i który zawsze będzie i z którego łona wychodzi wszelkie stworzenie. Nie ważmy się mówić lekceważąco o tak sędziwym i potężnym sposobie spoglądania na świat. To, co obecnie nazywamy odkryciami naukowymi nie miało nic wspólnego z jego narodzinami, trudno też uwierzyć, że będzie mu dany kiedykolwiek jego *quietus* (spokój), bez względu na to jak bardzo niezgodne z jego duchem z punktu widzenia logiki okażą się najważniejsze różnice dotyczące zjawisk, które gromadzi nauka. Może się on śmiać z różnic między zjawiskami, na których opiera się nauka, ponieważ niezbędne mu do życia tchnienie czerpie on z obszaru, który – czy znajduje się powyżej czy poniżej – jest co najmniej całkowicie odmienny od tego, w jakim funkcjonuje nauka. Jednakowoż, krytyk, który nie może obalić prawdy metafizycznego credo, może przynajmniej zaprotestować przeciwko przebieraniu się tegoż credo w „naukowe” piórka. Sądzę, że wszyscy, którzy cierpliwie słuchali mnie aż do tej pory, zgodzą się, że spencerowska „filozofia” postępu społecznego i intelektualnego jest wytartym anachronizmem, wracającym do myśli predarwinowskiej, tak jak i spencerowska filozofia „Siły” – usuwająca w cień wszystkie poprzednie rozróżnienia pomiędzy energią rzeczywistą (*actual*) a potencjalną, siłą rozpędu, pracą, mocą, masą, itd., do których z tak wielkim trudem doszli fizycy – przypomina nam epokę przedgalileuszowską.

Tłumaczenie: Beata Majczyna